

ALKOHOL

1.

Malizariusz IV był w swoim szczepie uważany za wielkiego naukowca. Pragnąc podtrzymać tę opinię przystąpił, po dwustu latach rozmyślań, do działania. Przygotowane miał już wszystko, co było mu niezbędne: cztery próbki krwi od starannie dobranych dawców, trochę amoniaku, nadmanganian sodu (bardzo specyficzny związek) i palnik. Wymieszał wszystko starannie, podgrzał i pozostawił do skrzepnięcia. Następnie, po szesnastu latach i trzech godzinach (czas określił z niezwykłą dokładnością) oddestylował nieco bezbarwnej cieczy. Nazwał ją Hormonem K.

2.

Remigiusz C., emerytowany księgowy, powoli pił swoją poranną herbatę. Dziwnie mu nie smakowała, miała wyraźny posmak stęchlizny. Westchnął ciężko i poszedł na zakupy.

Już na schodach coś w niego wstąpiło. Coś nowego i pięknego. „Nie przepuszczę draniom”, warknął, i nagle odmłodniały pobiegł do sklepu.

Kupił dwie butelki wina, chleb, masło, ser i zapalki za 5 złotych. Targował się półtorej godziny, ludzie słuchali jak urzeczeni, w końcu jakiś pan z końca kolejki, wzruszony ostatnimi fragmentami (życiorys), uścił za niego.

Zaraz po wyjściu namówił jakiegoś niskiego blondyna na zamianę: samochód tego pana w zamian za dziesięć losów na loterię fantową plus zupełnie nowy notesik i gratis długopis dokupiony w kiosku.

Tak zupełnie mimochodem, przy okazji załatwiania formalności związanych z przejęciem samochodu, załatwił sobie mieszkanie: zamienił swoją kawalerkę na M – 4 urzędnika. Sprawę załatwiono od ręki. Urzędnik zasłabł z radości. Remigiusz dokładał do interesu samochód, który zresztą zaraz odzyskał kupiwszy go za 40 tysięcy, które miał dostawać na raty po 100 złotych miesięcznie. Remigiusz miał dostawać. Urzędnik zresztą dorzucił jeszcze do tego komplet opon w zamian za buty księgowego, jak ulał, które to buty oddał w końcu za dwa numery „Świata Młodych” dla syna.

Zmierzchało.

Zebrana na ulicy ludność miasteczka w dowód lojalności ofiarowała Remigiuszowi, tak z serca, całą swoją bieliznę, a jakiś szczególnie wrażliwy major dorzucił nawet akordeon. Życie staowało się pomału piękne.

Niestety, działanie Hormonu okazało się krótkotrwałe.

*

Hormon istnieje – mam go już tylko kilka kropel. Oczywiście, cała opowiedziana przed chwilą historia jest nieprawdziwa – postanowiłem chronić źródła, więc wymyślam różne historie luźno jedynie wsparte faktami... Ale prawdą jest, że widziałem, jak on działa, kiedy

Gabrysia kupowała na placu sweter. Mój Boże. Nikt mi nie uwierzy, ale naprawdę, po półtorej godzinie zapłaciła za nowy i bardzo ładny sweter trzy złote. Naprawdę! W sumie żałowałem, że Gabrysia zdążyła zaprzyjaźnić się z handlarką, bo niewiele brakowało – najwyżej dziesięć minut – żeby to handlarka JEJ zapłaciła.

Przysięgam, że to prawda.

Ja sam nie próbowałem go jeszcze użyć. Raz tylko, pod wpływem wspomnienia o Gabrysi, postanowiłem się targować, ale na własną rękę, używając tylko inteligencji... To była żenada.

Robiłem wtedy Drzewo Dzwonkowe dla H., którą kochałem bez wzajemności, jak zwykle zresztą. Ona o moich uczuciach wiedziała i nie miała serca mnie odrzucić; nie wiem, czy jej było mnie żal, czy też podobało się jej, że ma pełną kontrolę nad sytuacją. Bo nie wierzę, że trzymała mnie w niepewności przez prawie dwa lata tylko dla prezentów. Przeciwnie – myślę, że gdyby nie prezenty, to może bym miał jakieś szanse. Chodzi o to, że na każde nasze spotkanie, czyli najmniej dwa razy w tygodniu, a czasem i codziennie, coś miałem przygotowane. Praktycznie nie myślałem o niczym innym, tylko o zrobieniu czegoś dla niej.

Fajnie było! Cierpiałem, oczywiście, niewyobrażalnie, ale chyba nigdy nie miałem tak niesamowitych pomysłów... Po latach, nie wiem czemu, zaprosiła mnie na imprezę i znalazłem się w jej domu, w jej pokoju. Przyznam, że to robiło wrażenie. Wszędzie: na półkach, na szafach, na podłodze, w szufladach, wśród kwiatów stały zrobione przeze mnie prezenty. Specjalizowałem się głównie w nieistniejących zwierzętach i roślinach. Kiedy na to panopticum patrzyłem, czułem sam do siebie podziw. Najbardziej wkurzające jest, że wiedziałem, że trzeba po prostu ją przytulić, wycałować i doprowadzić sprawę do końca, no chyba, że zaczęła by się na serio bronić i wierzczać, ale nie sądzę, żeby zaczęła. Młody człowiek to głupi, a ja zacząłem mądrzeć wyjątkowo późno. A dokładniej to dużo czasu zajęło mi zgranie teorii i praktyki...

No ale zacząłem o Drzewie Dzwonkowym. Potrzebowałem kilku dzwonków, więc poszedłem na targ do Rosjanki, która kilka dzwonków nie kojarzących się z wiatykiem posiadała. Nastroszyłem się psychicznie, wziąłem głęboki oddech i usiłując opanować zdenerwowanie moim pierwszym targowaniem się w życiu niedbale spytałem: „Te dzwonki, a o, te tam, to po ile?” „Po dwa pięćdziesiąt” – odparła śpiewnie Rosjanka. Błyskawicznie policzyłem w myślach, pamiętając, że hurt powinien być tańszy, i jeszcze bardziej niedbale, wręcz znudzony, rzuciłem: „To ja wezmę pięć za pięćnaście...” „Nu charaszo...” Dopiero w tramwaju, kiedy już ze mnie opadło napięcie, przeliczyłem wszystko jeszcze raz. I jeszcze raz...

Nigdy więcej się nie targowałem.

Chociaż... Była taka jedna dentystka...

Jezioro, nad które wtedy jeździłem, było niezwykle. Odkrył je Jacek, przypadkiem. Szukał w wakacje jeziora do wędkowania i dzień przed powrotem znalazł je. Nie zdążył nic załatwić, więc przez rok żył tą tylko myślą, że na kolejne wakacje tam pojedzie.

Jakoś wiosną opowiedział mi o tym jeziorze, a ja sam nie wiem czemu powiedziałem, że chciałem też tam pojechać, chociaż w życiu nie trzymałem wędki w ręce. Grałem wtedy różne role, szukałem tożsamości czy jak to tam nazwać. Wyobraziłem sobie siebie jako Bellew Zawieruchę (to z Londona), prawdziwego mężczyznę, zarośniętego i półdzikiego, szukającego wyzwania i którego podziwiają dziewczyny, a on jest tego nieświadomy, bo prawie ma serce i urzekająco naiwne... Jacek się zdziwił, nawet bardzo się zdziwił, bo zupełnie mnie od tej strony nie znał; ja siebie też od tej strony nie znałem, ale skoro się rzekło „a” itd... Jednym słowem brnąłem dalej, rzucając od niechcenia garść uwiarygodniających informacji o włóczęgach po lesie (parę razy byłem w Sobótce).

Podobną historię przeżyłem na pierwszych zajęciach z rzeźby – zgadłem się jakoś z moim imiennikiem, bardzo fajnym facetem, który coś dłubał koło mnie. Obydwaj byliśmy jeszcze grzeczni, tuż po gaudeamus i obydwaj – zrozumiałem to od razu – czuliśmy presję Bycia Artystą: absynt, dziwki i arcydzieła. Tylko nic z tego w nas nie było (jeszcze...) Nie pamiętam, który z nas zaproponował alkohol; pamiętam za to dość wyraźnie to odczucie, że noblesse

oblige i nie ma zmiłuj, trudno, trzeba się będzie upić, a potem się zobaczy. I to zaraz trzeba będzie. Boże, jak ja chciałem się po pierwszych paru łykach wycofać! I owszem, było cofanie, bo wino było najtańsze, a my nienawykli.

Prowadzący zajęcia nie zauważył – chyba, bo niewiele pamiętam.

No więc jedziemy syrenką boston na te Mazury, całą drogę śpiewamy do zachrypnięcia (jedenaście godzin jazdy, tą syrenką), a tu nagle dziesięć kilometrów przed końcem drogi Jacek mi oświadcza, że on tylko mnie dowiezie i zaraz wraca, bo ma egzamin, więc będzie za tydzień, a ja mam w tym czasie wszystko załatwić, czyli zgodę na rozbicie się na wyspie i palenie tam ognia i w ogóle to przepraszam, Doktorze (taka moja wtedy była ksywka). Stary traper jestem, co mi tam, pewnie, że załatwię... Szlag.

Dojechalismy gdzieś tak o piątej rano; Jacek poszedł się przywitać z gospodarzami, a ja poszedłem się rozejrzeć, nad jezioro.

Dom emerytowanego gajowego, Sudnika, którego później nazywaliśmy Wujkiem, stał jakieś sto metrów od jeziora, zasłoniętego ścianą drzew. Kiedy wyszedłem na brzeg, przeżyłem prawdziwe, niewątpliwe, pełne satori....

Czyli mówiąc normalnie – osłupiałem.

Stałem na południowym brzegu sporej wody; przede mną, o jakieś 200 metrów, czerniła się wśród mgieł wyspa, jakby unosząca się nad wodą, bo mgły u jej podstawy były jasne. Na nieruchomej, szklistej tafli wody strzępiły się skrawki mgły, po wschodzie słońca już zanikające. Cisza była całkowita, nawet fale nie chlupotały. Pejzaż bardziej by przypominał obraz niż realność, gdyby nie lekki ruch mgieł na wodzie. I nagle pojedynczy krzyk perkoza, chrapliwy, i znowu Cisza... Czuję się jednością ze światem, jednością z powietrzem, które nagle poczułem w płucach, czuję się drobiną i jednocześnie cały świat był mną – nie, nie potrafię tego opisać...

Nieodwołalnie pokochałem to miejsce, to Jezioro, Wyspę.

Kiedy wróciłem do gospodarstwa Wujka, Jacek właśnie odjeżdżał.

Rozbiłem namiot w ogródku, obok marchewki, zjadłem śniadanie i poszedłem do nadleśnictwa, które mieściło się w małej miejscowości Kuty, jakieś trzy kilometry szosą. Oczywiście, bałem się, bo nie bardzo wiedziałem, jak mam załatwić to zezwolenie. Ale postanowiłem być pewny siebie i przebojowy. Rozmowa z umundurowanym leśniczym wyglądała mniej więcej tak:

- Dzień dobry.
- ...
- Dzień dobry!
- Co? A, dzień dobry. Czego chce?
- Wie pan, chciałem...
- Zaraz.

I wyszedł. Wrócił po chwili i zaczął oglądać jakąś mapę.

- Przepraszam, mam taką sprawę...
- Chwileczkę.

Znowu wyszedł. Tym razem nie było go dobre pół godziny. Kiedy wrócił, zdziwił się.

- Jeszcze czeka?
- Tak, widzi pan, chciałbym uzyskać pozwolenie na rozbicie się na wyspie, na Jeziorze.
- Nie.
- Nic się nie da zrobić? – rzuciłem błagalnie.
- Nie.

Zaczął znowu oglądać mapę. Zacząłem intensywnie myśleć.

- A gdybyśmy tak porozmawiali, wie pan, napili się, pan by mnie poznał...
- Mieszka u Sudnika? To o ósmej.

Zaskoczyło mnie, jakie to proste się okazało.

O ósmej czekałem z litrem czystej, a Ciocia (żona Wujka, rzecz jasna) kroїła ogórki. Przyszło ich trzech i lekko ich rozbawiłem tym litrem, więc po godzinie trzeba było jechać gazikiem po kolejny litr. Potem nie pamiętam.

Poniedziałek. Przyszło ich trzech, jednego chyba poznałem wczoraj. Ja miałem jeszcze pół litra, oni też pół, więc po godzinie pojechaliśmy gazikiem, a potem nie pamiętam.

Wtorek. Przyszło ich trzech, w tym jeden nowy. Trzeba było pojechać. Potem jeszcze raz. Potem podobno jeszcze raz, ale to tylko hipoteza, bo jedynie Wujek coś mętnie kojarzył, że siedział sam o północy.

Środa – czwartek – piątek – sobota jak wyżej. Chryste... Pies zaczął na mnie warczeć, bo mu w nocy obsikałem budę – była blisko namiotu. Znałem już wszystkich leśniczych i gajowych w okolicy, tylko ich nie rozróżniałem. Jeden chyba był z Giżycka – sława dobrze niesie po wodzie. Wszyscy byli podobni i ubrani na zielonkawo. Mówili do mnie najpierw w trzeciej osobie, a po pierwszej połówce lekceważąco „te, malarz”. To bolało.

Niedziela. Jacek przyjechał około czternastej. Ja spałem, a wokół namiotu stało siedemnaście słoików po zsiadłym mleku. Podobno zezwolenie dostałem już w poniedziałek, ale nie pamiętałem niczego z tego dnia; w ogóle niczego nie pamiętałem poza nazwiskiem.

Rzuciłem picie natychmiast po wyjściu z namiotu, dość nawet daleko rzuciłem, ale Wujek chciał koniecznie napić się z Jackiem, a potem przyszedł jeszcze jeden gajowy, który wcześniej nie mógł, bo był na urlopie, no i trzeba było na piechotę do sklepu te trzy kilometry; ja przez ten spacer przetrzeźwiałem, a Jacek nie, bo został w chacie, więc się szybko upił i poszedł spać, a ja musiałem z Wujkiem i gajowym jeszcze, bo na wsi polskiej pijesz, póki masz otwarte oczy, więc schlałem się w końcu jak jeszcze nigdy w życiu, więc żeby wytrzeźwieć poszedłem na spacer.

Szedłem sobie brzegiem jeziora chłonać rześkie, późnowieczorne powietrze, ryba czasem biła w wodę (pamiętam to), trzciny szumiały, bo już zerwał się wiatr, a ja sobie szedłem i myślałem o swoim życiu ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich dni, bo dawniej to raczej niewiele pamiętałem.

Najpierw policzyłem gajowych. Wyszło mi, że było ich dwunastu, a że liczba ta wydała mi się znacząca, zacząłem liczyć dokładnie jeszcze raz. Najpierw chciałem, żeby ich twarze przesuwały mi się przed oczami, ale to nie był dobry pomysł, bo się zaczęły rozpędzać. Kiedy Ziemia znowu się uspokoiła, zacząłem jeszcze raz, tym razem tylko przypominając sobie ich imiona, ale pamiętałem jedynie, że ten najwyższy nazywał się Mirek, a reszta była zielonkawa. Bardzo mnie to rozbawiło, więc sobie krzyknąłem; las przyjął mój okrzyk zupełnie obojętnie i bez oklasków, więc zrobiło mi się głupio. Jakiś ptak się spłoszył i wtedy sobie uświadomiłem, że idę ścieżką wzdłuż jeziora, przy samym brzegu.

Usiadłem na chwilę na krześle, żeby to przemyśleć, tylko że to nie było krzesło, więc wstałem i zacząłem iść bardzo, naprawdę bardzo świadomie. Od jeziora szedł lekki chłód, trzciny nadal szumiały i nagle zdałem sobie sprawę, że teoretycznie widok jest piękny. Wprawdzie za cholerę tego piękna nie czułem, ale wiedziałem, że poczuć powinienem, że to wręcz obowiązek, w końcu jestem artystą...

Postanowiłem się zachwycić. To była świadoma, dojrzała decyzja dorosłego człowieka.

Szedłem brzegiem i jak mantrę powtarzałem sobie: „teraz będę się, kurwa, zachwycić. Będę, kurwa!” Stan, w jakim byłem, nie pozwalał mi na nic poza rejestracją wrażeń i to z kilkusekundowym opóźnieniem, ale decyzja była niezachwiana: jestem artystą i będę! Się kurwa zachwycić, oczywiście.

Trochę mnie rozczarowało, że moja decyzja nie spowodowała żadnego wodospadu wrażeń, nic w ogóle nie spowodowała, więc kiedy zobaczyłem jakiś pomost wędkarski z ławeczką, postanowiłem, że siądę i tak naprawdę się skoncentruję. Usiadłem, powtórzyłem sobie jeszcze kilka razy, że teraz będę się, kurwa, zachwycić, po czym zająłem się ostrością. Regulacja zajęła

mi dłuższą chwilę, ale dałem radę, bo miałem wielką motywację, i oba półwyspy się na siebie nałożyły.

Potem trochę mi się zrobiło mokro w plecy i niewygodnie, bo tak wisieć na palu od pomostu, obejmując go rękami i nogami z plecami w wodzie, było na dłuższą metę trudno i ręce mi mdlały. Zachwycić się byłem jednak kurwa zdecydowany, więc odchyliłem głowę do tyłu, żeby najpierw obraz zarejestrować, a potem siłą woli wrócić do fabrycznych, niemowlęcych ustawień sprzed odwrócenia obrazu. No a potem pomyślałem bardzo rozsądnie i zupełnie trzeźwo, że zaraz się utopię i chociaż to naprawdę piękna śmierć, tak w zachwyceniu, to jednak może jeszcze nie teraz...

Zacząłem się gramolić na pomost i dalej nie pamiętam nic. Mój jedyny w życiu naprawdę zerwany film. Obudziłem się po południu w łóżku w domu Wujka. Koło łóżka stały kalosze; kiedy włożyłem do jednego z nich nogę okazało się, że będąca w nich woda tworzy menisk wypukły. Pojęcia nie mam, jak ja tą wodę doniosłem...